



W 2010 roku spełniło się jej wielkie marzenie. Nagrała z Michaeliem Boltonem swój ostatni przebój „Break Free”.



Z muzycznego notesu Marii Szablowskiej

Wystarczy tylko chcieć

Będąc rzeczniczką prasową Polskiej Unii Onkologii, nauczyłam się, że ogromną rolę w walce z chorobą nowotworową odgrywa pozytywne myślenie. Kiedy usłyszałam, że i Irenę dopadł ten potwór, pierwszą myślą było: poradzi sobie! Jeżeli nie ona, to kto? Ona, maniaczka zdrowego odrywania, której przepis na domowy chleb z ziarnami przekazywałyśmy sobie jako najlepszy! Kiedyś przyszła do mnie do radia. Zapytałam, czy zrobić jej kawę: – No co ty. W naszym wieku o tej porze można pić tylko gorącą wodę. Kiedy wspominało się z nią dawne czasy, mówiła na przykład: – A pamiętasz 30 lat temu? – 30 lat? Przecież to było wczoraj, upływ czasu nas tylko wzbogaca. Łatwo było jej tak mówić. Całe życie świetnie wyglądała! Któryś z sezonów „Wideoteki” zaczęliśmy programem z Ireną. Przyjechała prosto z USA, mieszkała wtedy w Teksasie, gdzie jej mąż Michał, informatyk, dostał doskonałą pracę. Poprosiłam, żeby przywoziła coś ekstra ze scenicznej garderoby. Przyjechała z dżinsową sukienką z filmu „Motylem jestem...”. – Nie nosiłam jej od czasów kręcenia roljek. A to było ze 30 lat temu. – Nie martw się. Jak się w sukienkę nie zmieścisz, to powieszmy ją na wieszaku.

bo jest piękna. Pobiegła do garderoby i zaraz wróciła. Sukienka leżała jak ułat. – Jak się czegoś bardzo chce, to nawet sukienka się dopnie dwa-dzieścia parę lat później. Niecałe dwa lata temu spełniła swoje marzenie o wielkim duęcie, nagrała piosenkę z Michaeliem Boltonem. – Jak ci się to udało? – Po prostu bardzo tego chciałam. Wierzyłam, że chcieć, to móc. Była dziewczyną z biednej rodziny, wydawałoby się – bez perspektyw. Jednak śpiewać uczyła się w Paryżu, a potem jej piosenki nuciła cała Polska. Ludzie ją kochali, prowadziłam jej koncerty i widziałam... Tak Cię zapamiętam, Irenko – schodzisz ze sceny po bisie i mówisz: – Jestem taka szczęśliwa. ■

Całe życie świetnie wyglądała. Znakomita figura, oczy pełne blasku i ten uśmiech.

IRENA JAROCKA (1946-2012)

Żegnaj, Motylu!

Odeszła bogini muzyki – kobieta pełna taktu, wdzięku i klasy. Miała trudne dzieciństwo, bała się biedy. Spotkała przeznaczenie w osobie prof. Haliny Mickiewiczówny, która zaprowadziła ją do chóru Katedry Oliwskiej. Potem były festiwale w Opolu, Sopocie, wielkie przeboje, film. Choć Jej życie dobiegło końca, gwiazda Ireny Jarockiej nie zgaśnie nigdy.

Wzłecmy raz pod niebo jeszcze. Nie spotkamy się już więcej nigdy. Kolorowe sny rozwieje wiatr, zatrze czas. Motylem jestem! Była idealną odtwórczynią tej piosenki. Miała w sobie wiele z motyla. Delikatna, subtelna, taktowna. Pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Pełna obaw debiutantka, spytałam, czy nie ma mi za złe, że zaśpiewałam w Opolu jej piosenkę „Z moich przeczudeł”. Uściskała mnie serdecznie, mówiąc, że piękne piosenki powinny mieć wiele interpretacji. To przedłużyła im artystyczny żywot. A takich miała przecież wiele – „Motylem jestem”, „Wymyśliłam Cię”, „Odpływają kawiarenki”, „Break Free”... Wszystkie późniejsze z Nią kontakty potwierdzały tylko pierwsze wrażenie. Za swojej osobistej kultury, klasy i wdzięku uczyniła markę. Nie życzyła sobie, by media zajmowały się jej chorowaniem. Do swojego odchodzenia dopuszczała tylko

najbliższych. – Kocham, jestem kochana, czy może być coś wspanialszego – takie było Jej motto. Do kochania przybyła w jej rodzinie nie tak dawno jeszcze jedna istotka. Synek córki, Radley. – Chcę mu pokazać, jaki ładny jest ten nasz świat! – uparła się. Nie zdążyła... Życie ją fascynowało. Nie bała się przemijania, nawet w tym doszukiwała się pozytywów. Nie znosiła tylko malkontentstwa. Dala temu nawet wyraz na ostatniej płycie „Małe rzeczy”. – Trzeba marzyć o wielkich rzeczach, a cieszyć się małymi. Wszyscy, którzy ją znali, wiedzieli, że 20-letni pobyt za oceanem to nie był jej najlepszy czas. Nie zamknęła się w domu w Lubbock, próbowała różnych form artystycznych działań. Nie czuła się jednak spełniona. Tu rodzina, tam nad Wisłą, wierna publiczność. Jednak wyznawała zasadę – gdzie ty Kajus, tam ja Kaja i poki nie

skończył się mężowi Michałowi kontrakt, wiedziała, że jej mićjisce jest przy nim... Wpadała z radością do starego kraju zagrać kilka koncertów, spotkać się z przyjaciółmi. Ktoś mądrze stwierdził, że dopóty żyjemy, dopóki pamięć o nas żyje choć w jednym człowieku. Irena pozostawiła mnóstwo dobrych, ciepłych śladów w pamięci innych. Szkoda, że nie doszło do spotkania na babskie płoty, które sobie obiecywałyśmy. We wnętrzu jakiejś przytulnej kawiarenki. Spieszmy się nie tylko kochać ludzi, ale i z nimi spotykać. Bo możemy nie zdążyć. Marzenia o kawiarence odpłynęły...
LIDIA STANISŁAWSKA

W 2009 roku przyjechała do Polski, by wystąpić na Festiwalu TOPTrendy.



Sopot 1973. Irena pod mostem w lamtych czach parasolki. Już była wielką gwiazdą...



Motylem jestem... 1976. Zachwyciła rolę Ireny Orskiej w komedii „Motylem jestem, czyli romans 40-latką” w reż. Jerzego Gruzi. Tam zaśpiewała słynny przebój.

W 1973 roku w Sopocie, wśród łowców autografów, dla których zawsze miała ciepłe słowo.



Młodziutka Irena Jarocka na festiwalu w Sopocie w 1967 roku.



Opole, 1985. Podczas Koncertu Piosenki Adama Krzczmarę śpiewała z Alicją Majewską, Andrzejem Zauchą i Danutą Rinn.